Z PIERWSZEJ LINII FRONTU

Warszawa, dnia 25. VIII. 1944 roku

MARYSIA

Ulicą Boduena jedzie na rowerze dziewczynka. Ma długie, granatowe spodnie, opaskę na ręku i zieloną, niemiecką polówkę na głowie. Krótko ucięte, jasne włosy, okrągła buzia, zadarty nos. Wygląda na lat 10-11. Przed barykadą zeskakuje z roweru. Obok niej idzie chłopak może trzynastoletni, również z opaską i w furażerce z orłem.

- Dokąd jedziesz, Marysiu?

- Na pocztę, mam zabrać meldunki.

Stoją oboje w słońcu. Zdawać by się mogło, że bawią się w powstanie, w łączność, a oni pracują naprawdę, rozmawiają, jak dwoje dorosłych ludzi. Syknęła migawka. Obiektyw chwycił parę łączników.

- To jest Marysia, która spaliła czołg na Krakowskim - mówi Andrzej, towarzysz dziewczynki - pisali o niej w gazetach.

- ... i generał Monter - podchwytuję.

Marysia uśmiecha się zawstydzona. Nie lubi mówić o tym, co zrobiła.

- Najgorzej było dostać się do Hotelu Saskiego. Potem zbliżył się czołg, rzuciliśmy butelkę i piwnicami, kanałami do pałacu Blanka. Tam byli nasi. Stamtąd do Ratusza - łatwo było. Wróciliśmy z rannymi ze szpitala Maltańskiego z meldunkiem. Bo - wie pani - kapitan Nałęcz zginął...

Oczy dziewczynki ciemnieją, odwraca głowę.

- Teraz jestem łączniczką. Taki był rozkaz.

- Marysiu, daj mi przejechać się na rowerze - mówi Andrzej. Marysia prowadzi swą damkę.

- Nie można, bo tu szkło. Sama bym się chętnie przejechała.

- A może pani ma ochotę? - proponuje Marysia.

Lecz któż by pozbawiał dziewczynkę-żołnierza ulubionej przyjemności. Już nie ma szkła. Żegnamy się. Marysia siada na rower i znika za węgłem. Obok biegnie Andrzej. Zapewne od następnego roku i on będzie mógł jechać. /E./

"WRÓBELEK"

Strzelec Wróbelek miał dziś dobry dzień. Rano, stojąc na posterunku, ściągnął dwóch szkopów, którzy nieostrożnie wychylili głowy z okien sąsiedniego domu. Potem otrzymał pocztą harcerską list, a w nim wiadomość, że w domu wszyscy zdrowi i mieszkanie narazie nienaruszone. Na obiad nie było krupniku, tylko kluski z gulaszem, co wydatnie podniosło animusz strzelca Wróbelka.

Lecz największa niespodzianka przyszła pod wieczór. Wróbelek dostał dwa granaty: zrzutowe "jajko angielskie" i czasowy granat niemiecki. Strzelec omal nie podskoczył z radości. Nie byłoby to zbyt dziwne, gdyż liczył sobie dopiero 16 i pół lat. Wszelako z obawy przed docinkami towarzyszy strzelec Wróbelek przybrał obojętny wyraz twarzy godny starego wiarusa. Zresztą naprawdę był już starym żołnierzem. Walczył na linii od początku powstania, a więc już bardzo długo. Godziny powstania liczą się bowiem na lata. - Z parabelką i dwoma granatami udał się dumnie na kwaterę strzelec Wróbelek.

Do pokoju wpadł łącznik.

- Pluton 104 na wypad.

Już są na dole, już biegną przejściami, piwnicami. Prędko, na linię. Ulicą przebiega trzech Niemców. Taszczą za sobą moździerz. Trzask - seria peemu.- Dwu Niemców pada, trzeci ranny, podrywa się, ucieka, unosząc lufę moździerza.

Świst - zręcznie rzucona lina, jak lasso, splata podstawę moździerza. Po chwili ładunek ląduje bezpiecznie w bramie. Znów klasnęła lina o jezdnię. Teraz zabity Niemiec. Zadowolone z pomysłu chłopaki wciągają drugiego Niemca, wciągają amunicję do moździerza.

- Uwaga! Szkopy!

Z bramy wypada kilku Niemców. Już podnoszą broń, już sypnie serią rozpylacz. Strzelec Wróbelek pochyla się, rzuca granat. Błysk, huk, dym. Wróbelek rzuca drugi granat. Cisza. Dym opada. Na jezdni zamieszanie rąk, nóg, zielonych mundurów. Krew. Dobrze trafił. W sam środek. Lecz... Boże... drugi granat nie wypalił i leży blisko, tuż obok naszych. Czasowy, o dużej sile wybuchu. Rozerwie wszystkich. Jezus, Maria.

Strzelec Wróbelek roztrąca towarzyszy, szczupakiem rzuca się przez ulicę, pada na niewypał. W bramie zdrętwieli. Huk, dym. Tym razem granat wypalił, rozrywając chłopaka na strzępy.

Tak zginął strzelec Wróbelek, który własną piersią kolegów od śmierci osłonił.

/E./

NOCNA AKCJA

Noc jest ciemna, zwalista jak bryła granitu. Gdzieś daleko łuna pożaru werżnęła się czerwonym półksiężycem w niebo. Zaciemnione okna kryją za sobą tajemnicę ludzkiego snu czy czuwania. Gdzie niegdzie jak robaczek świętojański zamigoce latarka i zgaśnie. Jest cicho jakoś, odgłosy walki oddaliły się. Umęczone ulice wciągają głęboko w okaleczone od pocisków piersi świeże, nocne powietrze.

W takie noce się nie śpi. Wychodzi się na miasto i posuwając się wzdłuż ścian cichymi, kocimi krokami widzi się Polskę. Wkołysana w rozwalone domy, przesuwająca pieszczotliwą dłonią po garbach barykad, tętniąca we wszystkich sercach - j e s t. Razem z księżycową poświatą spływa na zmęczoną, walczącą Warszawę...

Nagle ciężka cisza załomotała salwami strzałów. Niebo przecinają zygzaki światła. Trzask k.b., szczękanie peemów, pomruk pocisków artylerii. To gdzieś zaczyna się akcja. To gdzieś żołnierz polski rzuca wyzwanie wrogowi. Wybiegamy na ulicę. Jest teraz głośna, posiekana przez salwy, niespokojna.

- Gdzie to?
- Może na Widok?
- Nie, nie, tam spokojnie - upewnia ktoś w bramie.
- Może wdarli się w Bracką?

Wreszcie pocztą szeptaną przebiega po bramach wiadomość:

- To nasi atakują Żywiec!
- Nasi... Odrazu wszystko się zmienia. Odgłosy tak przed chwilą niepokojące i groźne - są teraz łowione chciwie, z ich nasilenia wnioskuje się o przebiegu akcji.
- Oho, teraz znowu nasi walą - patrzcie, sporo peemów.

I będzie coraz więcej - przecież co noc zrzucają.

- Słyszy pan, tam był granat?
- To chyba szkopy rzuciły - ale nie boj się panienka, nasi dadzą im łupnia...

Modlimy się wpatrzeni w ciemność, żeby nasze kule trafiały celnie. Przeciwko tamtym, wrogim, stawiamy tamę naszych serc. Czuwamy razem z Warszawą w ciszy, towarzyszymy jej w momencie walki. Napięci, czujni - przyczajamy się w bramach...

Nad ranem ciemność więdnie i opada z ulic jak płatki kwiatów. Dogasają pożary. Niewyspani i bladzi patrzymy na wyłaniające się z burego mroku miasto...

/B./

Im jest gorzej, tym będzie lepiej. Wzmoże się, wywspanieli, wybuchnie duch. Kto umie leżeć duchowo krzyżem na świętej ziemi polskiej i obejmując ją miłośnie, słucha, co się w niej dzieje - ten usłyszy, jakoby niezliczone mnóstwo odmiennie tętniących serc. To my: w nadziei zakonspirowani, legitymujący się wiarą, zbrojni Miłością.